

ZAKRYTE LUSTRA
WIANKI I WIANO

EWA CIELESZ

ZAKRYTE LUSTRA
WIANKI I WIANO

TOM 2



*Składam serdeczne podziękowanie pani Sewerynie Galus-Śliwińskiej
za poświęcony mi czas, udostępnione materiały i podzielenie się
rodzinnymi wspomnieniami, którymi inspirowana jest ta powieść.*

Copyright © 2023 by Ewa Cielesz
Copyright for this edition © 2023 by Axis Mundi

REDAKCJA I KOREKTA: Agnieszka Sabak
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski
SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I

ISBN: 978-83-66451-24-7
EAN: 9788366451247
ISBN E-BOOK: 978-83-66451-25-4

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



[Kup książkę](#)

To takie irytujące, gdy nie można zacząć mówić, gdy zaciska się gardło. Tymczasem on patrzył na nią, jakby chciał wydrzeć z jej głowy wszystkie skotłowane myśli, wygładzić je na kolanie, przeczytać. Nie uśmiechała się, lecz układała usta w taki sposób, by uchodzące z nich słowa nie raniły. Mimo to wiedziała, że zada mu ból. A on wciąż doszukiwał się nadziei w najsłabszym drgnieniu kącików ust, w najdrobniejszej iskieierce oczu.

– Nie powinienes tu przyjeżdżać – szepnęła wreszcie. Jej gorący oddech sfrunął mu na policzki, musnął jak czuła dłoń, jak pocałunek. Pragnął, by tak było.

Antonina jednak spoglądała zimno, z naganą. Połyskujące w blasku świecy rdzawe sprężynki włosów podskakiwały niespokojnie, gdy potrzasała głową. – Nie powinienes nawet teraz, pod osłoną nocy.

– Musiałem cię zobaczyć – chwycił jej dłonie i przylgnął do nich wargami. – Tęskniłem... Nikt nie wie, że tu jestem. Jedynie twoja ciotka, a ona nie sprzeciwiała się.

– Ona nigdy nie sprzeciwi się tobie, Edwardzie – podkreśliła z naciskiem Antonina. – Zbyt długo pracowała nad skojarzeniem nas. Ale ty powinienes być rozsądny. Zdajesz sobie sprawę z ryzyka.

– Moja kochana...

– Zgubisz mnie! – przerwała ostro i wyrwała dłonie z jego uścisku. Były chłodne.

Jej serce zabiło szybciej, ale dłonie były chłodne jak wtedy, gdy po raz ostatni dotykała nimi rozpalonej twarzy Tomasza. Doktora Tomasza... Nagle znalazła się na tamtej polanie osłoniętej krzakami tarniny od drogi. I od wroga... Otrząsnęła się.

– Zgubisz mnie, a może jeszcze ciotkę, za to, że dała mi schronienie!

– Nie obawiaj się, jestem ostrożny – uspokajał Edward. – Pilnowałem, żeby nikt mnie nie zauważył, a konia ukryłem w stajni.

– Nie wiem, po co to robisz – obruszyła się. – Już ci mówiłam, nie chcę... Nie mogę za ciebie wyjść ... Przynajmniej jeszcze nie teraz – dorzuciła po dłuższej chwili.

– Nie teraz! – kurczowo uczeplił się tych słów. – Ale gdy to wszystko się przewali, gdy skończą się nagonki, tak!

– Skończą się nagonki – westchnęła i pokiwała głową z politowaniem. – Zdaje mi się, że wciąż jesteś naiwnym chłopcem.

Wstała z obitej liliowym aksamitem sofy i zajęła się nalewaniem herbaty do cieniutkich filiżanek. Im więcej było nerwowej gwałtowności w jej ruchach, napięcia i zaczepności w spojrzeniu, tym większe pragnienie i czułość budziła w Edwardzie.

– Nie jestem naiwny – zaprotestował. – Rozumiem, że się boisz. Ale ten strach odbiera ci wolność, a niewola jest zła tak samo jak śmierć.

– Śmierć, śmierć – zaśmiała się gorzko.

Otwarte, nieruchome oczy Tomasza prześwidrowały mglisty obraz, który po nim pozostał. Bolesne wspomnienie. Zła, okrutna śmierć. Gdyby zechciała zabrać i ją...

– Nie bałabym się, gdyby tylko o śmierć chodziło – rzekła powoli, z zadumą. I zaraz jej twarz zapłonęła, a pierś zaczęła unosić się i opadać w przyspieszonym oddechu. – Ale nie zniosę

bólu i upokorzeń, gdy mnie dopadną. Gdy zechcą zrywać ze mnie odzież, hańbić moją kobiecość, chłostać, przeganiać przez szpaler uzbrojonych w kije żołnierzy... Nie zniosę zsyłki gdzieś na bezkresną Syberię, nieludzko ciężkiej pracy ani głodu. Nie chcę, żeby mi wyciskali rozżarzonym żelazem szubienicę na czole, kiedy nie uda mi się uciec! – rzuciła na koniec, a w jej oczach pojawiły się dwie nieproszone łzy. Zamrugła szybko. Edward chłonał ją wzrokiem, pragnął Antoniny właśnie takiej, zagubionej i bezradnej, bo w tej chwili przypominała jego ukochaną córeczkę, lgnącą do niego. Potrzebującą go. Rozczulił się.

– Będę cię chronił, kochanie – szepnął.

Odmówiła zdecydowanym, szybkim ruchem głowy, wierzchem dłoni otarła spływającą łzę, po czym zerknęła na niego z ukosa, jakby sprawdzała, na ile zauważył jej chwilową słabość.

– Nie mogę cię narażać – odezwała się tonem, któremu próbowała nadać pewne i mocne brzmienie. Ale nie mówiła prawdy. Nie chciała Edwarda, tęskniła za tamtym... – A o mnie nie musisz się martwić. – Siliła się, by nadać słowom lekki ton. – Postaram się o wolność wewnętrzną. Tutaj, w sercu. Muszę tylko...

– Antonino – wszedł jej łagodnie w słowo. – Uwierz mi, niczego nie musisz. Niepotrzebnie się obawiasz. Niewiele tutaj wie o tobie, a już na pewno nie znają cię ci otepiali miejscowi strażnicy.

– Co ty wiesz o strażnikach? – parsknęła z ironią. – Zresztą... – Machnęła ręką. – Co tam oni... Co wiesz o carskiej żandarmerii? Do Przylipia ani na szczęście tutaj, do Sępina, niewiele dociera. A ja dość długo byłam w Warszawie, myślałam, że tam w tłumie bezpiecznie, ale tak nie jest. Car kazał budować cytadelę i zapowiedział, że przy najmniejszym proteście każe miasto zbombardować. Tak powiedział: „Zburzę Warszawę i z pewnością nie ją ją odbuduję”. Wszyscy teraz patrzą, jak rośnie ten gmach, cegła po cegle. Płaci za to Warszawa, czyli my, Polacy – zaznaczyła

drwiąco. – Carskie władze mszczą się za nasz bunt. Wyłapują powstańców, skazują na śmierć, na więzienie, zsyłają, odbierają majątki! – krzyczała, coraz bardziej wzburzona.

– Dobrze o tym wiem, Antonino, ale proszę, zaufaj mi. Zrobię wszystko, żebyś była przy mnie bezpieczna.

– Uciekłam z Warszawy – ciągnęła, jakby nie dotarły do niej jego słowa. – Ale oni są jak wężące psy, Edwardzie, więc teraz boję się, żeby się za mną nie przywlekli. Boję się o ciotkę, żeby jej przeze mnie nie skrzywdzili. Mój Boże, nigdzie teraz nie zaznam spokoju. Tutaj też... Doktor wie. – Umykała wzrokiem i ledwo panowała nad drżeniem głosu. Bardzo się starała, żeby nie dostrzegł jej lęku i bezsilności.

– Doktor? Moja kochana, on jest lojalny. Dużo wie, a dotąd nigdy nikogo nie wydał.

– Nie przeczę, może masz rację – przyznała. – Ale bywają wypadki... Zresztą w Przylipiu też mnie znają.

– Znają i lubią. Nikt ci tam krzywdy nie robi.

– Danicki!

– Danicki jest moim przyjacielem.

– Cóż z tego? Jest również plotkarzem, wystarczy, że się upi-je! – wybuchła.

– Danicki cię nie zdradzi – oświadczył.

Milczenie przyjaciela na temat rosyjskiego dezertera, którego Edward ukrywał w swoim domu, i zamieszania Zygmunta w zabójstwo redaktora Zawiorsty utwierdzało go w tym przekonaniu. – Poza tym byłaś przecież pielęgniarką, nie żołnierzem.

– Pielęgniarka na froncie to żołnierz, Edwardzie – zauważyła cierpko. – Nie próbuj mnie uspokajać. Dobrze wiem, że mam czego się bać.

– Nawet przy mnie? – Nie potrafił ukryć rozczarowania na widok ściągniętych w uporze ust. Najchętniej całowałby je teraz, lecz nie odważył się. Były zacięte i niedostępne.

Zacisnął mocno szczęki i ponownie ujął jej dłonie. Tym razem trzymał silnie za nadgarstki, jakby nigdy już nie zamierzał ich puścić.

– Spójrz na mnie – zażądał. – Spójrz mi w oczy i odpowiedz: czy twoje zachowanie świadczy o tym, że odbierasz mi nadzieję? – W jego pytaniu zabrzmiały nieudolnie ukrywane strach i rozpacz. Miał złe przeczucia.

Zmieszała się i znów uciekła wzrokiem.

– Ech, Edwardzie... Myślisz tylko o sobie, więc teraz pytasz byle pytać – odparła wykrętnie. Och, dlaczego nie ma odwagi, by przyznać się do tamtej miłości, do rozdzierającego bólu, do tęsknoty... – Jeśli sam tego nie wiesz, pogódź się, że z moich ust nie na wszystko usłyszysz odpowiedź.

Patrzył na nią długo, badawczo, podejrzliwie.

– Nie kochasz mnie – powiedział w końcu. Zwolnił uścisk i puścił szczupłe nadgarstki na których pozostały białe odciski jego palców. Przyglądał się, jak rozciera te ślady, jak nadal goni gdzieś wzrokiem.

Bolało go, że zwleka z odpowiedzią, że nie zaprzecza.

Drzwi tymczasem stały otworem, a w nich ukazała się Karolina Godziewiczowa. Ubrana była w strój wizytowy, w którym wydała się Edwardowi dorodną gruszką. Jej rozłożyste biodra balansowały pod szeroką spódnicą, kołysały się i zwodziły. Twarz jednak pozostała spięta, przejęta ni to oburzeniem, ni troską. Przetoczywszy się przez próg, z impetem opadła na krzesło. Jęknęło pod ciężarem.

– No i co, panie Edwardzie? – Z trudem łapała oddech. Przejście kilku kroków stanowiło dla niej nie lada wysiłek. Oddychała ciężko i raz po raz zanosila się kaszlem. – Czy Antonina zwierzyła się już ze swojego pomysłu? Jak mi Bóg miły, ta dziewczyna do grobu mnie wpędzi – wysapała i wbiła w siostrzenicę zagniewane spojrzenie. – Przyznałaś się? – dociekała.

Edward zamarł, a Antonina przebiegła pustym wzrokiem po ich twarzach, jakby stali się niewidzialni. Jakby nie siedzieli na-przeciw, nie przyglądali się jej w pełnym napięcia oczekiwaniu.

– Nic jeszcze nie powiedziałam – odparła w końcu znużonym głosem.

– A powinnaś – zganiła ją ciotka. – Pan Edward musi o tym wiedzieć. Należy mu się po tym wszystkim... – odchrząknęła, bo dalsze słowa utknęły jej w gardle. Z ukosa zerknęła na gościa.

– Po jakim wszystkim? – Nastroszyła się Antonina. – Nic między nami nie było!

– Już ty mi nie opowiadaj – rzuciła kpiąco ciotka. – Nie po to... – przerwała, zwinętymi w pięści dłońmi przywarła do piersi i dobrą chwilę oddychała jak ryba wyrzucona na brzeg. – Nie po to przymykałyśmy oko z panią Stalicką na wasze samotne spacer, na gruchanie w bawialni, żebyś teraz udawała niewinność.

– Och! – zachnęła się Antonina. – Gruchanie w bawialni! Rozmawialiśmy zaledwie.

– Nie przerywaj, swoje wiem. A panu Edwardowi należy się wyjaśnienie... O, Jezusku święty – zamachała rękami w kierunku siostrzenicy. – Daj no, szklanek wody, kochana. Doktor zabronił się denerwować, a tu takie coś... Panie – zwróciła się z kolei do Edwarda. Jej głos natychmiast się zmienił. Łamał się teraz płaczliwie za każdym wypowiedzanym słowem. – Niechże pan coś zrobi! Toż ona za granicę chce uciekać! Do Francji! Do Paryża!

Edward pobladł. Nerwowym ruchem sięgnął do kieszeni, wydobyl fajkę, której wprawdzie nie zapalił, lecz na niej skoncentrował uwagę. Obracał w palcach i nie odrywał od niej wzroku. Wydawałoby się, że ten sfatygowany, miejscami poczerniały przedmiot stał się ważniejszy od Antoniny. I od jakiejś tam Francji. I od wszystkiego, co tutaj się dzieje.

– Panie Edwardzie – upomniała go z niesmakiem Godziewiczowa. – Słyszałeś pan, co mówiłam? Do Paryża!

– Cóż – westchnął i podniósł się z ociąganiem. – To wybór panny Antoniny. Nie mnie decydować o jej losie... – Ujął dłoń zaskoczonej Godziewiczowej i złożył na niej pełen szacunku pocałunek. – Pójdę już, zrobiło się późno.

Antoninę zaledwie musnął wzrokiem. Nie miał sił na walkę z bólem i rozpaczą, gdyby przyszło mu dotknąć jej dłoni, po raz ostatni poczuć jej zapach, jej chłód.

– Dobrej nocy, Antonino – rzekł tylko i ruszył do drzwi.

– Edwardzie! – zawołała za nim.

Zatrzymał się i odwrócił rozjaśnioną nadzieją twarz.

– Nie przyjeżdżaj tu więcej – powiedziała szybko. – A gdyby co... Udać, że mnie nie znasz.

Wchłonęła go noc i marcowa odwilż. Wszystko wokół cieńło, chlupało i bryzgało rozmokłym śniegiem. Czuł na policzkach, na włosach, na ubraniu umieranie tego rozmiękłego i wilgotnego zimowego żywiołu. Umierał on wraz z jego nadzieją.

Powoli oddalał się od drewnianego dworku. Uwierały go rozczarowanie, beznadzieja, żal, wreszcie pierścioneł po babce Walerii wciśnięty do kieszonki kamizelki. Przyjechał tu z konkretnym zamiarem. I wszystko przepadło.

Po jakimś czasie zorientował się, że zapomniał swojego konia. Wrócił. Sam, bez pomocy stajennego, wyprowadził klacz i gdy poczuł pod sobą gładkość siodła, pogalopował ledwie majaczącą w ciemności drogą.

Utrata Antoniny odebrała mu spokojne noce. Natrętne myśli i wspomnienia układały się w żałobny stos, podsycany żarem cierpienia i złości. Nie potrafił go ugasić. Może jedynie łzami, ale te, karcone przez męską dumę, nie miały śmiałości płynąć.

Rozalia przyglądała się wszystkiemu z boku. Dostrzegała strapienie syna, lecz pochwyciwszy raz i drugi jego niechętnie

spojrzenie, nie podejmowała rozmowy. Uznała, że trzeba dać mu czas. Trzeba czekać, aż będzie gotów. Aż sam do niej przyjdzie.

Tymczasem on znów chodził na mogiłkę Elizy i jej, nie matce, skarżył się bezgłośnie.

Słyszała te skargi przemykająca między wyniosłymi jesionami i wiązami ni to żywa, ni umarła cmentarna wiedźma. Starzy mieszkający w tej okolicy wciąż mieli w pamięci jej niezwykłą urodę i bystrość umysłu, gdy kręciła się po plebanii jako córka księżej gospodyni. Jagna jej było. Ojca nikt nie znał. Szeptano tylko sekretnie, że Jagusine oczy kropka w kropkę do tych księzkowskich podobne. Po śmierci matki młodej dziewczynie nie wypadało na plebanii pozostać. Toteż błąkała się po okolicy, zabiedzona, głodna i w zaniedbanym odzieniu. Ci, co ją spotkali, odwracali z niechęcią oczy, a niektórzy zaczepiali ją zuchwale i znieważali. Aż pewnego dnia zauważył ją Maciej, karczmarz i wdowiec. Żał mu się zrobiło dziewczyny i rad byłby ją na karczmarkę przyuczyć. Wymyta, odkarmiona, ubrana w czystą sukienkę i krochmalony fartuszek, przyciągała każde męskie spojrzenie. Zakochał się w niej i sam Maciej, a że wdzięczna Jagna była mu przychylna, szybko wyprawiono wesele. Żyli szczęśliwie, a gdy mąż zestarzał się i podupał na zdrowiu, Jagna pielęgnowała go z oddaniem i miłością aż do końca. Kiedy znów została sama, życie ziemskie utraciło dla niej sens.

Lubiła za to umarłych i dobrze czuła się w miejscu ich wiecznego spoczynku, między grobami. Rozczulał ją też Edward pochylający się niemal każdego dnia nad mogiłą żony. Może przez to Eliza stała się ulubienicą cmentarnej wiedźmy.

Przepełniona troską, zniechęcona i zmęczona bezsennością Rozalia obróciła się na drugi bok. Dawno wstał świt, tymczasem ona od wielu godzin bezskutecznie próbowała zasnąć. Na domiar złego dotarł do niej daleki, głucho dudniący dźwięk kościelnych dzwonów. Wcisnął się przez uchylone okno, wdzierał się aż pod pierzynę, którą usiłowała osłonić uszy. Chwilę później wysunęła głowę, bo każde uderzenie kończyło się jakąś radosną srebrzystością, która nieoczekiwanie dodała jej otuchy. Sprawiała, że poczuła w sercu dziwną lekkość. Uniosła się na łokciu i zapatrzyła w fałdy firany, spośród których, jak z gęstej zasłony mgieł, powoli otrząsało się słońce.

Minął pierwszy tydzień kwietnia. A te dzwony to na rezurekcję, na świętowanie triumfu Zmartwychwstania. Czy to nie symbol, nie pociecha dla uciśnionego narodu? Nic dziwnego, że celebrowanie świąt nie było w smak zaborcom, którzy nabożeństwa kościelne i słowa kapłana objęli surową cenzurą. Niedawno też ksiądz po domach i dworach zaufanego zakrystiana z wiadomością wysłał, żeby kobiety nie wkładały czarnych sukien, które wróg mógłby uznać za prowokację, za symbol żałoby narodowej.

Rozalia zwęziła oczy, wysunęła się z pościeli i boso podeszła do szafy. Wydobyła ciężką suknię, w której odprowadzała na

cmentarz najpierw matkę, a później synową. Niedoczekanie, żeby ktoś ośmielał się nakazywać jej, co ma nosić. Zaraz zleci Marynie, niech odświeży i oczyści zakurzony czarny aksamit.

Prześwietlone słońcem witraże rzucały kolorowe smugi na kościelne posadzki, przybrudzone ściany i poważne oblicza świętych. Ale i na te suknie żałobne, na pełne dumy, odważne oczy kobiet, na zawzięte twarze mężczyzn.

Od klęski powstania listopadowego minęło półtora roku. Rozuchwaleni zwycięstwem zaborcy bez litości karali Polaków za ten zryw, a złowieszcze słowa cara wciąż krążyły po chatach, dworach i karczmach, wypływane przez zaciśnięte zęby: „Nie wiem, czy będzie jeszcze kiedy jaka Polska, ale tego jestem pewien, że nie będzie już Polaków”. Tak powiedział car, a ludzie zaciskali pięści, uśmiechali się wzgardliwie i pielęgowali wewnętrzny bunt. Czuli, że to jeszcze nie koniec, że podniosą się jeszcze. Będzie i Polska, i Polacy.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie...

Naszą ojczyznę racz nam wrócić, Panie

– z przejęciem grzmiał tłum.

A ksiądz cierpliwie czekał, aż ludzie skończą. Dopiero wtedy zaintonował stosowną na to święto pieśń:

Wesoły nam dziś dzień nastał...

Przyłipie ożywiło się gwarem i radością wspólnego spotkania. Kuzynka Eulalia przyjechała już w Wielki Piątek i odkąd przekroczyła próg domu, nie odstępowała zabieganej Rozalii.

– Wybacz mi, moja kochana, ale tak spragniona jestem kogoś bliskiego – mówiła przy lukrowaniu w kuchni świątecznych mazurków. – Niby jest Malwina, ale wiesz, jaka ona. Dumna

i milcząca. Każde słowo trzeba u niej kupić – szczebiotała, zerka-
jąc przez ramię Rozalii, gdy ta doglądała mięs i ciast. – Czasem aż
skręca mnie w środku z tej samotności. Nie mogę znieść pustych
miejsc po Witusiu i moim ukochanym Henryku – ubolewała
podczas przeglądania krochmalonych obrusów czy przy wyborze
win w mrocznej piwnicy.

– No, a jakże Witold? Nic o nim nie wiadomo? – zaintereso-
wała się Rozalia.

– Nic nie wiem. Niektórzy mówią, że pewnie z kraju wyjechał.
Mówią też, że słusznie zrobił, bo lepiej jechać nawet za niemiecką
granice, niż pod rządy cara wrócić. Zwłaszcza ten, kto brał udział
w powstaniu, nie powinien ryzykować.

– Z tego, co słyszałam, Niemcy, Austria i Rosja mają zakaz
przyjmowania polskich uchodźców – zauważyła Rozalia i obej-
rzała pod światło srebrne sztucce, czy nie mają smug.

– No więc nie wiem. Może do Paryża? Bo, powiem ci, Roza-
lio... – Eulalia podniosła do góry pusty półmisek i zdmuchnęła
z niego ledwie widoczny paproszek. – Powiem ci, że w zesłanie
Witusia nie wierzę. Mój syn zawsze był sprytny, nie dałby się
złapać i gdzieś na katorgi wywieźć. O, to nie on, zapewniam
cię! – Mówiła z mocą, jakby chciała o tym przekonać bardziej
siebie niż Rozalię. – Zresztą napisalby przecież...

– A z tego tam, Paryża, czy gdzie on teraz jest, nie może
napisać? – zapytała ostrożnie Rozalia i przestawiła wazon z tu-
lipanami na drugi koniec stołu, gdzie według niej prezentował
się lepiej.

– Jakże? Z emigracji? – wytrzeszczyła oczy Eulalia i bez-
wiednie przeniosła wazon z powrotem. – Wituś listów nie pisze,
bo wie, że one przez wiele rąk i wiele oczu przechodzą. Nawet
ponarzekać w nich nie może. A skoro prawdę musi zataić, to
o czymże on, biedny, ma pisać? – dodała na usprawiedliwie-
nie, zauważywszy pełne zwątpienia spojrzenie Rozalii. – Ach,

kochana – rozpłakała się znienacka. – Jakże chciałabym pojechać do niego! Wolałabym dzielić jego los na wygnaniu, niż czekać tu w niepewności – szlochała żałośnie.

Rozalia rzuciła serwetkę, którą właśnie składała, i przygarnęła do siebie kuzynkę. Poczuła jak kołnierzyk domowej sukienki nasiąka łzami Eulalii.

– Za dwa dni urodziny Witusia, a ja nawet go nie uściskam – skarżyła się urywanym głosem. – Mogę jedynie fotografię ucałować, otworzyć szafę i wtulić twarz w jego ubrania – łkała boleśnie. I po tych łzach, po tym roztrzęsieniu Rozalia poznała, że ta udręczona matka w żadną emigrację nie wierzy. Rozumiała ten ból i jeszcze mocniej przytuliła Eulalię do serca.

– No, cicho już, cicho – mruczała. – On wróci. Tylko patrzeć jak wróci... Nie płacz...

– Nie mówiłam ci jeszcze. – Eulalia i otarła łzy i pociągnęła nosem. – A może pisałam? – zastanowiła się. – O Borisie. Pisałam?

– Nic o Borisie nie pisałaś. – Rozalia przyjrzała się jej z zaciekawieniem.

– Już u mnie nie mieszka – oświadczyła trochę ze smutkiem, a trochę ze złością Eulalia. – Sama musiałam nauczyć się wszystkiego i zająć kamienicami.

– Do swoich pojechał? – zapytała z przejęciem Rozalia, ignorując nowe obowiązki kuzynki.

– Do jakich swoich? – Wzruszyła ramionami Eulalia. – Wyobraź sobie, zainteresował się nim szef tajnej policji, który śledził rosyjskich dezterterów. Ale Boris poznał kogoś wysoko postawionego. Tak dobrze kłamał, że tamten posadził go na urzędowym stanowisku i zatuszował ciemną przeszłość. Tak to u nich jest. Jednego dnia jest się nikim, a następnego ważnym urzędnikiem. Zależy, z kim się gorzałkę pije...

– Mój Boże, spodziewałam się, że ożeni się z Malwiną, zabierze ją do Rosji.

– Malwinę do Rosji? A po co? – Eulalia rozłożyła ramiona i uniosła brwi w szczerym zdziwieniu.

– Kochali się przecież. – Rozalia aż przysiadła na krześle. – Czekałam ich ślubu...

– Ślubu? Kiedy ona wcale się do niego nie garnęła. A bywało nawet, że patrzyła na niego jak kot na psa, więc ona została u mnie, a Boris poszedł w swoją stronę. Wiesz, Rozalko, on ją pewnie kochał, a ona owszem, może wcześniej lubiła go, ale odkąd on z ruską elitą zaczął przestawać, nie chciała go widzieć. On bez serca nie był, kiedy wyprowadzał się, to za nią płakał. Zawsze taki twardy, a wtedy płakał. Mnie się wydaje, że gdyby ona pozwoliła, ożeniłby się z nią...

– Wierzyć mi się nie chce – pokręciła głową Rozalia. – Zdawało mi się...

– No, więc tylko ci się zdawało, kochana – przyznała skwapliwie Eulalia. – Możesz mi wierzyć albo nie, ale na mój gust, to Malwina do takich rzeczy się nie nadaje. Małżeństwo? Chroni ją przed tym, Boże. I każdego mężczyznę, który będzie chciał zakochać się w tej dziewczynie. Ona w jakimś innym świecie żyje. W swoim świecie.

– No, jeśli tak... Może jest z tym szczęśliwa – skwitowała Rozalia i z westchnieniem podniosła się z krzesła.

– Szczęśliwa? – powtórzyła Eulalia z namysłem. – Bo ja wiem... Bez tych łąk, lasów, jezior? Powiem ci tak od serca, Rozalio. Mnie się wydaje, że ona nigdy nie będzie szczęśliwa w Warszawie.

Po rezurekcji, na której nie zabrakło nawet Zosi wtulonej w Wandę i ziewającej szeroko, zaproszeni goście zajechali na dziedziniec Przyłipia. Poldek i Anatol ledwie nadążali wypręgać konie, tyle ustawiło się bryczek. Cała pokojowa służba wyległa przed dom witać gości. Aniela, Kazia i Wiesia uwijały się w kuchni, żeby na czas podać ciepłe potrawy. Łatwiej było, gdy

pracowała z nimi Wanda, ale ta po wyjeździe Malwiny została opiekunką Zosi.

Edward witał Alfreda Konickiego z Bobrowej, ciotkę Felicję, wuja Gustawa i cioteczne rodzeństwo. Klepał po ramieniu Danickiego, całował dłoń jego żony i tulił ich dzieci. Wciąż jednak zerkał na drogę, gdzie spodziewał się ujrzeć powóz Godziewiczowej. Czekał z niecierpliwością i z rosnącą obawą, bo Antoniny nie widział dziś w kościele. Lęk, że mogła wyjechać bez pożegnania, ścisnął mu gardło.

Goście zajmowali już miejsca przy stole, gdy Edward wreszcie dostrzegł przez okno konie z Sępina. Bez zastanowienia wybiegł na ganek i z trudem powściągnął zamiar, by wyprzedzić Wacława i zamiast niego usłużyć przyjezdnym. Jakiegoż doznał rozczarowania, gdy z bryczki wysiadła jedynie pani Karolina.

Podszedł, niemal podbiegł, i nie przywitawszy się nawet, zapytał gorączkowo:

– Wyjechała?

Godziewiczowa obrzuciła go wzrokiem pełnym nagany.

– A bodajbyś pan przepadł – warknęła. – Jest. I oczy wypłakuje.

Dopiero teraz chwycił obie dłonie zaskoczony kobiety i ob-sypując je pocałunkami, zawołał:

– Jest? Przyjechała? Gdzie ona?

– Zgaś pan te ślepie, bo mi suknię zajmiesz – skarciła jego radość. – Tutaj nie przyjechała. – Pociągnęła go ku sobie i dodała ciszej: – Przecież boi się carskiej policji.

– A Paryż? Porzuciła pomysł? – zapytał z nadzieją.

– Jakbyś pan Antoniny nie znał – uśmiechnęła się krzywo. – Ona sama z siebie porzuciłaby pomysł! Coś tam nie poszło jak trzeba. Ktoś miał po nią być i się nie zjawił, choć ona już na walizkach siedziała.

– Nie pojechała!

– Toż mówię...

– Czy nadal nie chce mnie widzieć?
– Jedź pan do niej i sam zapytaj – obruszyła się. – Ona ze mną o tym ani myśli rozmawiać.

Edward skinął tylko na Wacława, żeby zaprowadził gościa do salonu, po czym zawołał na Poldka:

– Osiodłaj Nimfę! Prędko!

Pędził na złamanie karku, wzniecając tumany kurzu. Tak bardzo pragnął pocieszyć, utulić ukochaną, którą wyobrażał sobie przerażoną, wbitą w najciemniejszy kąt pokoju, zalaną łzami. Dlatego widok Antoniny sypiącej kurom ziarno i wesoło zagadującej do ptactwa wprowadził go w osłupienie. Tym bardziej że jego wybranka nie różniła się strojem od służącej. Rude loki ukryła pod krochmalonym czepkiem, a szczupłą kibić przewiązała białym obszytym koronką fartuszkiem.

Edward zsiadł z konia, rzucił stajennemu wodze i trzymając się rozwleczonego wzdłuż zabudowań cienia, skradał się ku domowi. Chciał, by ktoś ze służby uprzedził pannę Antoninę o jego wizycie. Nie zamierzał wprowadzić jej w zakłopotanie, bo z pewnością nie życzyłaby sobie, żeby zastał ją w takim stroju i w takim otoczeniu.

Stąpał ostrożnie, ale dostrzegła go od razu. Uśmiechnęła się zaczepnie i nie odwróciwszy nawet głowy, rzuciła z przekąsem:

– Proszę delikatniej stawiać kroki i nie płoszyć mi kur!

Zatrzymał się zaskoczony.

– Doprawdy... Trudno za tobą nadążyć – rzucił z niesmakiem. – Cóż to za nowy pomysł, Antonino?

– Och... Nie podobam ci się w tej roli? – zapytała kpiąco. – Rozumiem, że wołałbyś pisać płomienne listy do ukochanej ukrywającej się na emigracji. Byłoby to bardziej romantyczne i mniej żenujące, prawda? Zatem wiadomość, że nie ma już panny Antoniny zapewne przyniesie ci ulgę, Edwardzie. Odtąd możesz wołać do mnie: Maniu, Broniu, Stefciu, czy jak tam chcesz.

Wysypała resztę ziarna z lnianego woreczka i wytrzepała go pieczołowicie. Biały pył uniósł się z wiatrem, zakręcił w powietrzu, po czym opadł na wytworny frak Edwarda.

– Najmocniej przepraszam! – zawołała z udanym przerażeniem. – Ale sam sobie jesteś winien, czyż taki pan nie powinien bawić się teraz przy świątecznym stole, zamiast towarzyszyć byle dziewczce przy karmieniu drobiu?

Edward dobrze już znał Antoninę, dlatego z tego potoku słów pełnych uszczypliwości bez trudu wyłowił ton, który usiłowała ukryć. Żal, lęk, a nade wszystko rozczarowanie przeciwnościami losu sączyły się z jej ust w przebraniu gorzkiej ironii. Wybrzmiały mu w głowie bolesną bezsilnością. Świetnie rozumiał, że zmiana statusu przykryta krochmalonym czepkiem i fartuszkem miały służyć za schronienie przed carską policją. Kochał Antoninę, więc to naiwne poświęcenie poruszyło w nim wrażliwe struny. Współczucie i rozczerwanie odezwały się jednak z taką samą mocą, jak irytacja. Edward potrafił znieść wiele, lecz z całego serca nienawidził kierowanych ku niemu kpin.

Nienaganne manieri, które wszczepiła mu matka, w jednej chwili ustąpiły miejsca wzburzeniu, a zwarte szczęki i zwężone oczy nie wróżyły niczego dobrego.

Przez twarz Antoniny przemknął cień. Chętnie wycofałaby się z drwin, na które Edward przecież nie zasłużył, ale było już za późno.

– Z byle dziewczką, powiadasz? – wycodził. – Cóż, wcale nie uważam, że strój, jaki włożyłaś, miałby cokolwiek w tobie zmienić, i nigdy nie nazwałbym cię w ten sposób. Skoro jednak sama się za byle dziewczkę uważasz, pozwól, że tak właśnie cię potraktuję.

Chwycił ją w pól, przerzucił sobie przez ramię jak snopek słomy i nie zważając na rozwierzgane i wściekłe protesty, niósł ją do dworku przez cały dziedziniec, ganek i sień. Nie uwolnił jej nawet natknąwszy się na pokojówkę, która zatrzymała się w holu

i wielce strapiona starała się omijać wzrokiem wypięte pośladki panienki.

– Suknię dla panny Antoniny, szybko! – rzucił w przelocie.

– Wizytową? – wyjąkała i na wszelki wypadek dygnęła grzecznie.

– Nie chcę żadnej sukni! – krzyknęła rozjuszona Antonina. Głos miała stłumiony, gdyż jej twarz znajdowała się pomiędzy łopatkami Edwarda.

– Wizytową – potwierdził Edward. – Przynieś najładniejszą.

– Z jedwabnej satyny? – dociekała pokojówka. – Z bufiastymi rękawami? Tę w różyczki?

– Nie w różyczki! – gwałtownie zaprotestowała zainteresowana i uderzyła pięścią w plecy Edwarda, aż zadudniło. – Postaw mnie wreszcie na podłodze! Puść mnie, słyszysz? Sama sobie wybiorę suknię!

– To nie wiem... – Przeszłowała z nogi na nogę służąca. – Co mam robić?

– Idź sobie! – krzyknęła Antonina.

– Możesz odejść – zezwolił łaskawie Edward. – A ciebie puszcze – zwrócił się do Antoniny, gdy służąca skwapliwie czmychnęła – jeśli obiecasz, że pojedziesz ze mną do Przyłipia.

– To szantaż – warknęła.

– Wszystko mi jedno, nazywaj to, jak chcesz. – Nie ustępował.

– Dobrze, pojedę – obiecała niechętnie. – Tylko puść.

– I wyjdiesz za mnie? Przrzekłaś to jakiś czas temu. Czyżbyś o tym zapomniała?

– Pamiętam, Edwardzie. Ale... Wtedy było inaczej, puść.

Zmiana w tonie jej głosu skłoniła go do zachowania powagi. Przestało być zabawnie, więc posłusznie postawił ją na podłodze.

– Mam prawo przypuszczać, że nie dotrzymujesz danego słowa. Damy tak nie postępują. Czy coś się wydarzyło? – zapytał.

– Nie... – odparła niepewnie, a przed jej oczami znów pojawił się obraz młodego doktora. Leżał w kałuży krwi i szukał

wzrokiem jej oczu. „Ruda – szepnął słabo, gdy zrozpaczona pochylała się nad nim. – Zostaw, ze mnie nic już nie będzie...” – Potem skrzywił się w żalonym grymasie, z którego odgadła uśmiech, i dodał: „Ale gdybym przeżył, ożeniłbym się z tobą. Zostań z tym, że cię kocham, Ruda...”

Chwyciła go za rękę, ale zabrał ją gwałtownie i rzucił przez zaciśnięte zęby: „Uciekaj. Ze mną i tak koniec. Weź moją apteczkę, zaopiekuj się...”

– Wyjdiesz za mnie? – wyrwał ją z zadumy Edward.

Nie odpowiedziała, rzuciła mu tylko zgnębione spojrzenie.

– Jedźmy zatem – rzekł ze smutkiem i ruszył do wyjścia.